

## Ludwik Czelański.

Pan Ludwik ma dziś lat jak uciał trzydzieści i pięć, choć wygląda co najwyżej na dwudziesto-pięcioletniego młodzieńca. Czech rodem, przyszedł na świat jakby na złość we Wiedniu. Młodość spędził w Czechach i tu studyował. Bardzo rychło przyszedł do przekonania, że całe studium gimnazjalne ani funta kłaków nie warte i uważając, że o wiele lepiej jest oświecać chamów, wstąpił do seminarium nauczycielskiego, po którego chlubnem ukończeniu pełnił przez rok cały przyjemne obowiązki nauczyciela ludowego w jednej z czeskich szkół ludowych. Podczas tego szerzenia światła poczuł w sobie już dawno drgająca żyłkę artystyczną... Szukał siebie i nie mógł się znaleźć... Ni stąd ni zowąd znalazł się młody nauczyciel ludowy w konserwatorium w Pradze w oddz. kompozycji, organów i fortepianu. Równocześnie kształci się na aktora „charakterystycznego“ w szkole dramatycznej przy Narodn. Divadle w Pradze a przytem kończy prywatną szkołę operową Pivody. Po dwóch latach był gotów z temi trzema szkołami i zaangażował się jako aktor w jednym z pragskich teatrów. Na ten czas przy-



Ludwik Czelański.

pada pierwszy jego publiczny debiut kompozytorski i kapelmistrzowski, bo skomponował muzykę do melodramatu Vrchlickiego „Zeme“ (Ziemia), który wystawiono w Nar. Divadl., a p. Czelański sam dyrygował (r. 1894). Sukces był tak wielki, że zaraz po tem przedstawieniu miejska opera w Pilźnie powierzyła mu urząd pierwszego kapelmistrza. Po roku przenosi się w tym samym charakterze do Zagrzebia a stąd wraca już na stałego kapelmistrza opery Narodnego Divadla w Pradze. Tu bawi 1½ roku. W roku 1900 angażuje go Pawlikowski do nowego teatru miejskiego we Lwowie na rekomendację swego osobistego przyjaciela Fr. A. Szuberta, b. dyrektora Nar. Divadla.

We Lwowie pomimo całego uznania bawi tylko kilka miesięcy, bo z powodu całego szeregu nieporozumień porzuca Lwów i powraca do Pragi, gdzie po strejku tamtejszej orkiestry operowej, zakłada Filharmonię czeską, która do tej pory istnieje.

W tym czasie L. Heller zakłada swoją Filharmonię i zaprasza p. Czelańskiego do Lwowa oddając mu — wszystko. Tu p. Czelański przede wszystkim skompletował a — rzec wolno — stworzył wyborną pod każdym względem orkiestrę, jakiej Lwów przedtem ani dotąd potem nie widział. Pracował za dziesięciu, a praca ta miała bardzo widoczne rezultaty. Orkiestrą Filharmonii lwowskiej — ówczesnej — zachwycali się wszyscy.

Lecz cała Filharmonia żyła tylko rok, po którym Heller, znany z bogactwa pomysłów i planów założył wędrowną operę i oddał jej kierownictwo Czelańskiemu. A więc operą dyryguje w Krakowie i w Łodzi. Zawiódłszy się na operze puszcza się Heller z Czelańskim na czele swojej orkiestry w tournée po Królestwie i Rosyi.

Zaczęli od Warszawy. Warszawiacy byli zachwyceni. Puszcza się dalej gubiąc po drodze

Hellera... Czelański na czele 50 i kilku osób objeżdża kilkadziesiąt miast rosyjskich witany wszędzie i podejmowany z entuzjazmem niesłychanym. Pożegnalny koncert tej wycieczki dano we Lwowie, poczem p. Czelański rozpuścił orkiestrę udając się sam na odpoczynek do Berlina. Na zaproszenie Grabczewskiego przyjeżdża do Lwowa, gdzie obejmuje stanowisko kapelmistrza orkiestry operowej. Pierwszą operę wystawił przedwcześniej (we środę). Grano „Halke“.

Cały Lwów muzyczny cieszy się i wdzięczny jest dyrekcyi, bo p. Czelański jest kapelmistrzem, jakim mało... Trzeba go widzieć dyrygującego... bo jest nie tylko co słyszeć, ale i co widzieć. On dyryguje nie samą pałeczką, ale literalnie całym korpusem. W jego dziwacznych ruchach nerwowych odbija się cała orkiestra. Cała orkiestra ani na chwilę nie spuszcza z oka znakomitego dyrygenta pamiętającego o wszystkich równocześnie.... Klewe.

## Z TEATRU.

Słuszne i na faktach oparte stanowisko, jakie zajęliśmy od początku wobec ciasnoty pojęć p. Solskiego jako dyrektora teatru, zaznaczając, że ten intrygant nie dorósł do wysokiego zadania, jakim jest prowadzenie teatru wogóle, a zwłaszcza w Krakowie — znajduje zwolna odzew w całej prawie prasie. Tak poważne pismo jak „Przegląd polski“, wystąpiło z szeregiem uzasadnionych i poważnych zarzutów, z powodu wprost ohydne go repertuaru i bezmyślnego obsadzania ról, „Krytyka“ zarzuciła Solskiemu niezdolność, „Czas“ odezwał się również ostro z powodu braku repertuaru. W ostatnich dniach, z powodu „Warszawianki“ sprawozdawcy „Naprzodu“ i „Głosu Narodu“ uderzyli słusznie na p. Solskiego, który na punkcie mniemanego talentu swojej żony zdaje się być wprost dotknięty nieuleczalnym obłędem.

Ostatnie przedstawienie „Warszawianki“ względnie powierzenie głównej roli „żonie“, (?) p. Solskiej, jest nieodpartym tego dowodem. Rola dawniej tak pięknie, stylowo grana przez p. Ordon-Sosnowską, tak poprawnie i ze siłą odtwarzaną przez p. Arkawin, przydzielił p. Solski znowu swojej żonie (?) która niemożliwym skrzykiem (rozbity klarnet z Napajedel), fałszywą, nieinteligentną interpretacją, zepsuła prześliczną postać i obniżyła wartość tego wspaniałego dzieła.

Podziwiać trzeba publiczność krakowską, że cierpliwie znosiła to świętokradztwo, że nie ujęła się za moralną krzywdą swoich krakowskich artystek, które muszą znosić tego rodzaju lekceważenie dla importowanej ze Lwowa pani Solskiej, pozbawionej wszelkiej szczerości, prawdy, uczucia w grze, co zresztą wobec pożycia z takim panem Solskim jest zupełnie zrozumiałe.

Dziwić się trzeba cierpliwości i obojętności widowni krakowskiego teatru, wobec jawnych drwin jakie urządza pan Solski przez idiotyczne przemiany ról, odbieranie ich artystkom i artystom utalentowanym, a rozdawanie między szkolkę, tanich adeptów i adeptki, z których ma się wytworzyć zespół lichy wprawdzie, ale, jak to mówią, za psie pieniądze.

Pan Solski, jako dyrektor, to nowa wydzielina niezdrowych stosunków krakowsko-galicyjskich. Wiadomo, jakim sposobem przyszedł do teatru. Hr. Andrzej Potocki narzucił go wprost miastu na dyrektora, a p. Leo przez zwykłe oszustwo urządzone z wysunięciem kandydatury Bandrowskiego, z rozkazu namiestnika, przeformował Solskiego przeciw Wyspiańskiemu. „Krytyka“ podniosła głośny protest, ale nikt go wówczas nie słuchał. Dziś przyznać musi każdy, że p. Feldman miał rację. W teatrze krakowskim rozpiera się kabotyn, kreatura stańczykowska, która drwi sobie z aktorów i publiczności, czując za sobą plecy rządzącej kliki. Tej publiczności, która płaci i chodzi do teatru rzuci p. Solski ochłapy repertuaru, narzuca jej siebie i swoją „żonę“, pomijając w sposób oburzający artystki tej miary co Wysocka, Ordon-Sosnowska i inne, a z artystami obchodzi się jak z niewolnikami, wyzyskując ich moralnie i materialnie. Z drugiej strony jednak, jak się dowiadujemy, podczas zjazdu „panów“ na ślubie Badeniego, p. Solski razem z żoną wycierał stańczykowskie przedpokoje, zalecając się i prosząc o poparcie a wymyślając na niegodziwych krakowskich kołtunów i hołotę z galerii. Ej, panie Solski, radzimy zatrzymać się... Publiczność krakowska jest wyrozumiała i cierpliwa, ale gdy raz przejrzy, wówczas zobaczy pan, że nawet plecy stańczykowskiego namiestnika, za które się kulisz, nie wiele ci pomogą.

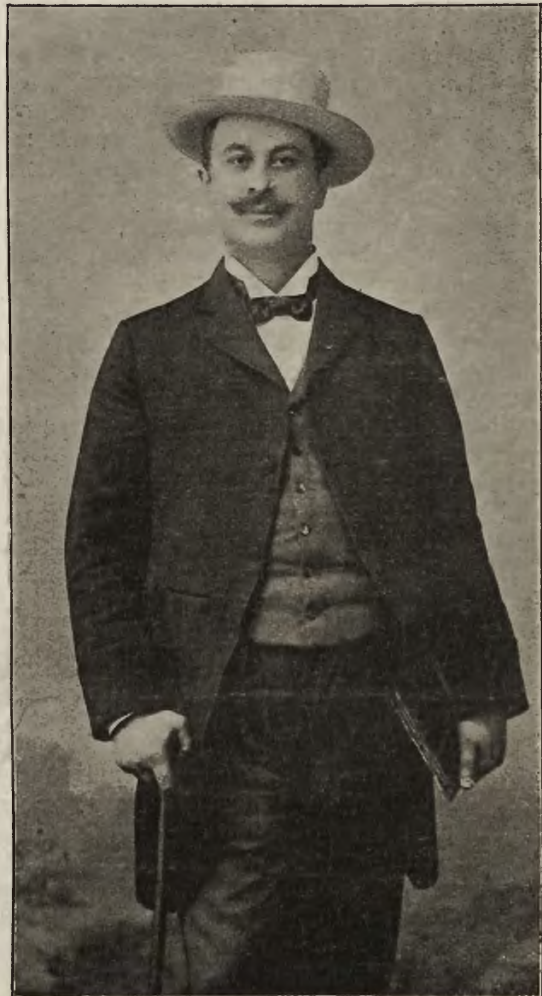
Najwybitniejszy i najlepszy znawca polskiego teatru, stary Kozmian, na wiadomość, że p. Solski dostał dyrekcyę krakowskiego teatru wyraził się: „Kraków na nikim jeszcze tak się nie zawiódł, jak się zawiódł na Solskim“.

Sprawdza się co do słowa.

Oświk.

## Józef Szymański.

Jeszcze jako ucznia lwowskiej szkoły realnej, (urodz. we Lwowie 21 stycznia 1870), lubili go koledzy i nauczyciele za piękny i do duszy wnioskujący głosik, którym produkował się na mszach studenckich, jedynych wówczas chwilach, w których młodzież popisywać się mogła, bo wieczorków uczniom nie wolno było urządzać. Nikt nie wątpił, iż Szymek zostanie śpiewakiem, gdy oddał się w opiekę zdolnej nauczycielki lwowskiej p. Sobotowej. Pod jej umiejętnym kierownictwem, wypróbawszy siłę swych na estradzie, debiutuje w roku 1892 na



Józef Szymański.

scenie skarbkwowskiej we Fauscie (Walenty). Zalecani zewnątrz a przede wszystkim pięknym materiałem głosowym, zdobywa przychyłność muzycznej lwowskiej publiczności i wstępuje na żmudną i kolcami usłaną karyerę śpiewaczą. Studyów jednak nad pięknym swym materiałem głosowym i umuzykalnieniem nie zarzuca. Pragnąc je pogłębić i rozszerzyć, wyjeżdża do Wiednia i tu u prof. Gänsbachera szuka wiedzy śpiewaczej, tudzież koniecznej w zawodzie śpiewaczem sprawności technicznej. Na lwowskiej scenie pracuje Szymański dźwigając na swych barkach cały repertuar barytonowy od roku 1895 do 1903 t. j. do rozbicia opery lwowskiej, poczem osiada chwilowo w Krakowie i wierny pieśni ojczystej, rozpoczyna szereg produkcji estradowych.

Praca to dla Szymańskiego nie nowa, gdyż lubiany ogólnie i ceniony przez lwowską publiczność, artysta ten musiał w ciągu swej karyery operowej jawić się często na estradzie w roli wykonawcy pieśni. Pieśń gallońska i serdeczna nuta narodowego piewcy Moniuszki, oraz pieśniarstwo współczesne, znalazły w Szymańskim wybornego odtwórcę. Śpiewa z wielkim powodzeniem u nas, w Warszawie, Poznaniu i w ogóle w całej Polsce, witany na estradzie z równą życzliwością i szczerem aplauzem, jak i w najlepszych swych partych t. j. Janusza, Halka, Uroka, Manru, Kostryna, Goplana, Azyi Wołodyjowski, Walentego, Rigoletta, Torreadora, Amonasra, Astona, Alfia, Tonia, Scarpie, Onegina, Orsiniego, Telramunda, Wolframa, Latającego Holendra i t. d. Obecnie śpiewa ponownie w operze lwowskiej, ku ogólnemu zadowoleniu muzycznych Lwowian.

— urs. —